

MARGINES

SZKOŁA UCZNIOWIE PRASA
WIELE WRAŻEN, KONTROWERSJI I URONIONYCH KROPLI DESZCZU



ZSŁ News

Renata Makuch

CO W SZKOLNEJ TRAWIE PISZCZY.

Pozostał tylko miesiąc do zakończenia semestru, a mamy dopiero listopad.... Zaczniemy od najsmutniejszych informacji. 20 listopada czekało nas zebranie z rodzicami. Mam nadzieję, że wszyscy je przeżyli.

W sobotę, 18. października odbyły się XVI Mistrzostwa Spinringowe o tytuł Mistrza Zespołu Szkół Łączności w Krakowie. W Dolinie Będkowskiej ośmiu wędkarzy dzielnie walczyło o tytuł mistrza. Sebastian Gębuś z klasy 1 lb złowił mierzącego 56 cm i ważącego około 1 kg pstrąga tęczowego, który zapewnił mu



zwycięstwo. Również opiekunowie walczyli między sobą. W tym roku zwyciężył prof. Przemysław Cienkosz nad dyr. Tadeuszem Piskowskim (9:7 w statystyce wyholowanych ryb).

25 października odbył się Festiwal Robotyki „Robocomp 2014”. W kategorii Motorola Solutions Free style trzecie miejsce zajęł robot sprząający CleanBOT wykonany przez Andrzeja Łaczewskiego z 2 Ed.

27 października 2014 roku miał miejsce pisemny etap Konkursu Języka Niemieckiego. Najlepiej spisał się Dorian Kaczmarczyk z klasy 1 Ed, zdobywając 50 pkt.

6 listopada odbył się pierwszy etap konkursu o tytuł „Mistrza Ortografii ZSŁ”.

13 listopada w sali gimnastycznej ZSŁ odbyły się wykłady dotyczące przedsiębiorczości prowadzone przez pana Bartosza Józefowskiego - przedstawiciela Krakowskiego Parku Technologicznego – z okazji tygodnia przedsiębiorczości. 19 listopada w świetlicy ZSŁ zostały przeprowadzone warsztaty przedsiębiorczości, lecz lista uczestników jest już zamknięta.

Warto przypomnieć, że w dniach 25, 26, 27 listopada odbędą się próbne pisemne egzaminy maturalne dla uczniów klas czwartych, przez co na te 3 dni zagości inny podział godzin, o którym zapewne dowiemy się niedługo.

Wielkimi krokami zbliża się XI Edycja Konkursu Matematyczne Łamanie Głowy.

To chyba wszystko w tym wydaniu ZSŁ News i jak zawsze, polecamy się na przyszłość.



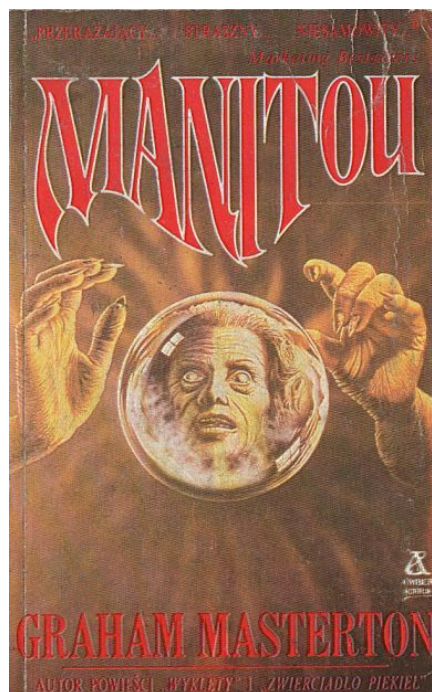
Starcie indiańskich wierzeń z techniką

Monika Sajbura

„NA POCZĄTKU NIE WIERZYMY W NIC ALBO PRAWIE W NIC, NASTĘPNIE ZACZYNAMY WĄPIĆ, ŻE SIĘ POMYLILIŚMY”

Uwielbiam powieści grozy. Zawsze, będąc w bibliotece, najpierw patrzę, czy nie ma czegoś nowego z gatunku horror. Ostatnio, będąc w naszej szkolnej bibliotece, wdałam się w dyskusję z pewnym delikwentem, najprawdopodobniej z pierwszej klasy. Okazało się, że mamy podobny gust literacki, jednak jeżeli chodzi o autorów - dwa różne światy. Ta rozmowa uświadomiła mi dwie rzeczy: nie wolno oceniać książki po autorze oraz to, że jednak lubię indiańskie wierzenia. Ów delikwent upierał się w przekonaniu, że najlepszą serią powieści grozy jest „Manitou” Grahama Mastertona. Pomimo mojego uprzedzenia do tego autora, pożyczyłam pierwszą powieść z cyklu pod tym samym tytułem. Przeczytałam opis i się załamałam. Książka o indiańskich duchach. Jednak gdyby ktokolwiek usłyszał, z jakim zachwytem delikwent polecał mi tę książkę, nie byłby w stanie się oprzeć pokusie przeczytania „Manitou”.

Powieść zaczyna się niepozornie od rozmowy dwóch lekarzy w prywatnym szpitalu. Karen Tandy przyszła z nietypowym guzem na szyi, który powiększa się w zastraszającym tempie. Dowiaduje się o konieczności operacji i z tą wiadomością udaje się do jasnowidza - Harry’ego Erskine’a. Opowiada mu swój sen, który nawiedza ją od pewnego czasu. Chociaż „Niewiarygodny Erskine” nie jest



prawdziwym jasnowidzem, ta sprawa go zaintrygowała. Postanowił dowiedzieć się więcej o szczegółach ze snu Karen. Gdy dowiaduje się, że operacja jest niemożliwa, a jej stan zdrowia pogarsza się przez rosnący z godziny na godzinę guz, organizuje nawet seans spirytystyczny. Ze zdjęć rentgenowskich okazuje się, że ten guz naprawdę jest niezwykle, ponieważ przypomina ludzki embrion. Harry Erskine prosi o pomoc jednego z ostatnich szamanów

indiańskich. Jednak nie prosi go o usunięcie guza, tylko uratowanie Ameryki...

Książka jest bardzo wciągająca i na pewno każdego zachęci do sięgnięcia po kolejną z cyklu. Nieskomplikowana akcja, genialne opisy i nawet zaskakujące zakończenie. Akcja trzyma się głównego wątku, dzięki czemu nie jest długa ani nudna. Podobno miała być niesamowicie brutalna, jednak ja uważam, że była tylko jedna scena z większą ilością krwi.

Polecam każdemu, kto jest znudzony kolejnymi wersjami „Paranormal Activity”.

Historia dwóch dzienników

Łukasz Ożóg

ARTYKUŁ Z CYKLU „GDZIE TU SENS? GDZIE LOGIKA?”

Jako przyszli technicy, w większości przyzwyczajeni jesteśmy do logicznego myślenia, praktycznego rozwiązywania problemów i tym podobnych dorobków ludzkiego umysłu. Wszystko po to, aby ułatwiać sobie życie.

Obecnie w większości szkół w Polsce odbywa się rewolucja w postaci wypychania elektronicznych gadżetów gdzie się da, niekoniecznie z sensem, bardziej dla mody i uznania. Nie chcę zagłębiać się w krytykę ani tym bardziej kogoś obwiniać



za taki stan rzeczy. Chodzi mi tylko o zastanowienie się, czy takie rzeczy jak dziennik elektroniczny, tablice multimedialne albo tablety dla nauczycieli są potrzebne.

W tym roku pojawił się w szkole dziennik elektroniczny, przyjęty raczej bez większych uniesień, gdyż nie jest to zupełna nowość. Niektórzy mieli okazję spotkać się już z podobnymi rozwiązaniami wcześniej. O sprawności dziennika i bałaganie, jaki panuje dzięki niemu, szkoda mi wspominać. Ujmując to krótkimi hasłami - brak dostępu do sieci, brak synchronizacji i brak wielu funkcji. Zastanawia mnie tylko, w czym zły był dziennik papierowy. Przez lata spełniał swoją funkcję w edukacji i nie wadził nikomu. Owszem, jakiś czas temu kleksy na papierze mogły wyglądać nieelegancko. Ja jednak za swojego niezbyt długiego życia nie widziałem

kleksa spowodowanego pisaniem piórem. Wadą papieru na pewno było liczenie średnich i podliczanie frekwencji. W idei dziennika elektronicznego dzieje się to automatycznie. Właśnie gdy piszę to zdanie, pojawia się na mojej twarzy uśmiech. Nie trzeba było dużo czasu, aby nowość ZSŁ odkryła swoje wady. Przy obecnym stanie, czyli dwóch dziennikach oraz zakładając, że wszystko działa i się nie wiesza, nauczyciel musi wykonać dwa razy te same czynności, które do tej pory wyko-



nyał na papierze. Traci więc na to około dwukrotnie więcej czasu niż kiedyś. Co to zmienia? Z prostych kalkulacji wynika, że logowanie się do dziennika, wpisywanie oceny na papier, wpisywanie oceny do systemu, sprawdzanie obecności na papierze oraz sprawdzanie obecności w systemie skraca lekcję. Jeśli skraca lekcję, to robimy na niej mniej. A jeśli robimy mniej na lekcji, to robimy więcej w domu. Jeśli komuś jest na rękę siedzenie do późna nad zadankami, to wydaje się być prawdziwym pasjonatem niewykorzystywania czasu, czyli gatunkiem na wymarcie. Może absurdalnie daleko zaszedłem ciągiem tych stwierdzeń, ale jakby nie patrzeć - zabieranie czasu na robienie dwa razy tego samego nikomu się nie podoba, nigdy się nie podobało i zapewne nie będzie. Oczywiście, gdyby został tylko dziennik elektroniczny, to byłoby dużo prościej. Do tego sam wylicza frekwencję i oceny - przecież to takie wspaniałe. Wspaniałe, owszem, jeśli robi to dobrze. Niestety, dziennik jest nękany wieloma dolegliwościami. Nie wiem, gdzie leży wina, nie zastanawiam się nad tym, a jedynie uważam błąd. Oceny wagi 50 albo poprawy wliczane do średniej w sposób niezgodny z WSO to codzienność. Także funkcja losuj ucznia do odpowiedzi - takiego random pozazdrościliby chyba wszyscy wybitni programiści, bo wielu już to wykonało, ale nie w taki sposób, żeby losowała kilkakrotnie pod rząd tę samą osobę. Mam wrażenie, że aplikacja dziennika jest nie tyle niedopracowana, ale po prostu niedostosowana do realiów szkoły - pisana przez programistów z ich punktu widzenia. To tak jakby kierownikiem firmy został ktoś, kto nie ma pojęcia o pracy niższych szczebli w hierarchii tejże. Mimo wszelkich starań, nie będzie w stanie zapewnić współpracownikom takich warunków pracy, aby byli w pełni zadowoleni.

Podobno wszystko jest dla ludzi, ale też we wszystkim powinno się zachować umiar. W pełni przemyślane rozwiązania mają sens. Niedostosowanym i dokładającym pracy powinno się podziękować za współpracę albo naprawić od razu. I co do tego, chyba nie ma wątpliwości. Mam nadzieję, że dziennik elektroniczny po dopracowaniu wyprze dziennik papierowy i ułatwi pracę nauczycieli, zamiast utrudniać. Jednak pełen optymizmu stwierdzam, że wiele przydatnych wynalazków miało trudne początki, a dziennik może być jednym z nich.



Co Kmicic powiedziałby o dzisiejszej Polsce

Michał Ambroży

PRAWDOPODOBNI NIE BYŁBY BARDZO ZADOWOLONY Z TEGO, JAK WYGLĄDA I DOKĄD ZMIERZA NASZ KRAJ.

Jak duża część szkoły, tak samo i nasza klasa jest akurat w trakcie rozkładania na czynniki powieści historycznej, autorstwa Henryka Sienkiewicza - „Potopu”. Książka jest, jak wiadomo obszerna, ale nie o niej samej chciałem napisać, ale o jej głównej postaci, a właściwie jego postawie i stosunku do Ojczyzny, w porównaniu z dzisiejszymi Polakami. Na pomysł wpadłem, zastanawiając się nad opowiadaniem, które miałem napisać na zadanie właśnie o Kmicicu przeniesionym w dzisiejsze czasy. Pomijając wszelkie kwestie różnic kulturowych i postępu cywilizacyjnego, doszedłem do wniosku, że ten polski patriota, który początkowo został zwiedziony i wykorzystany przez zdrajcę – Janusza Radziwiła – nie byłby zadowolony, widząc sytuację w kraju. Zwłaszcza społeczeństwo, które pochowane po domach, boi się o własną posadę i chyli posłusznie głowy mówiąc, że zawsze mogło być gorzej, że przecież nie jest tak źle, że da się żyć. Większość z nich, gdyby tylko dostało poważniejszą ofertę pracy za granicą z zadowalającymi zarobkami, nawet niekoniecznie bardzo dużo wyższymi, to zostawiłoby kraj i wyniosło się.

Wracając do Kmicica, to podobno istniał on naprawdę, ale Sienkiewicz zmienił go do takiego stopnia, że jest uznawany za postać czysto fikcyjną. To właśnie jego osobę i postawę chciałem tutaj przytoczyć w kontekście tego, co dzieje się w naszym kraju i jaka jest postawa Polaków. Opisany on został jako postać, która przechodziła, w miarę postępu akcji, wewnętrzną przemianę. Początkowo jest to typowy Sarmata – czyli szlachcic, - który delikatnie rzecz ujmując - chwytając życie garściami, bawiąc się i upijając do woli. Gdy jednak poznał miłość swojego życia i zaszedł jej za skórę swymi wybrykami, a później próbował odkupić swoje winy za wszelką cenę, właśnie wtedy wróg Rzeczypospolitej w postaci Janusza Radziwiła wykorzystał Kmicica do własnych celów, zwołując go bardzo podstępnie i umiejętnie. Gdy tylko bohater poznał prawdę, rozpoczął aktywnie odkupienie swoich „grzechów”. Niewątpliwie bardzo zasłużył się dla Polski, choćby przy obronie Jasnej Góry. Pokazał wówczas, co to znaczy być prawdziwym patriotą, byłby w stanie bić się za Ojczyznę do ostatniej kropli krwi. Oczywiście w czasach pokoju o wiele trudniej jest stać murem za ojczyzną i pokazać swoje oddanie dla niej, ale można to robić na wiele różnych sposobów. Jednak Polacy w dzisiejszych czasach nie widzą sensu i potrzeby, aby to robić. Za to wyłącznie narzekają. Jesteśmy właśnie po wyborach, myślę, że jeszcze więcej ludzi nie poszło do urn niż poprzednio albo odda nieważny głos. Tacy ludzie nie mają prawa narzekać, a właśnie to będą robić, jak zawsze... Ktoś wreszcie musi wziąć losy naszej Polski we własne ręce, tak jak Kmicic, starać się za wszelką cenę Jej pomóc, walczyć za Nią, a nie skupiać się tylko na sobie i na tym, że nie jest bardzo źle. Zgadza się, tragicznie nie jest, zawsze mogło być gorzej, ale czy tylko mi nie podoba się wysokie bezrobocie, bardzo słaba służba zdrowia lub fakt, że ludzie młodzi wolą wyjechać, bo będą mieć lepsze warunki do życia, lepszą pracę i płacę? Nie wierzę w to, że wszyscy mają to gdzieś, tylko dlatego nikt z tym nic nie robi? Nie będę się tu rozwodzić na temat naszych polityków, zauważcie tylko, że w sejmie mamy

ciągle te same partie i twarze. Jeśli trafi tam jakaś świeża krew, to z miejsca musi się dostosować w pełni do wymagań partii i do tego, jak głosują i na co. Trzeba coś zmienić, ale przede wszystkim musi chcieć tego większa liczba osób. Nie sam Kmicic odprawił Szwedów z kwitkiem, nie byłoby takiej możliwości i mimo, że niektórzy ludzie oddali Polskę, bo stwierdzili, że co za różnica, kto będzie nimi rządzić, oni się nie będą narażać (sytuacja w Wielkopolsce, gdzie po przegranej bitwie i otoczeniu przez Szwedów, Polacy poddali się i niewiele było takich, którzy się temu sprzeciwili), to jednak były postacie, które walczyły razem ze swoimi oddziałami do końca z ogromnym oddaniem i ofiarnością. Dzięki nim, dzięki udanej obronie Częstochowy, ludzie uwierzyli, że może się coś zmienić, że mają szansę, że może uda się żyć w lepszej Polsce, która będzie stuprocentowo Polaków, a nie Szwedów. Społeczeństwo zauważyło, że ludzie u władzy powinni tam być z woli ludu i są tam w pojedynkę. Tak samo jest teraz. To my wybieramy polityków, którzy rządzą nami i naszym państwem i obowiązkiem każdego patrioty jest stawiać się na wyborach, wtedy można krytykować władzę. Ale jeśli nic się nie zmieni, a zapewne właśnie tak się stanie, to my jako społeczeństwo musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Wystarczy spojrzeć na naszych bohaterów narodowych albo postacie z „Potopu”. Już wtedy, w XVII wieku, kierowano się dewizą – „Bóg, Honor, Ojczyzna”. I my też powinniśmy mieć ją na względzie. Wierność Polsce to nasz pierwszy konstytucyjny obowiązek (Art. 82 Konstytucji Rzeczypospolitej z dnia 2 kwietnia 1997 r.), następnie jest nim przestrzeganie obowiązującego prawa (Art. 83 Konstytucji RP z dnia 2 kwietnia 1997 r.), kolejny dotyczy płacenia podatków i innych świadczeń na rzecz państwa (Art. 84 Konstytucji RP z dnia 2 kwietnia 1997 r.). W punkcie pierwszym Artykułu 85 obowiązującej w naszym państwie Konstytucji jest napisane: „Obowiązkiem obywatela polskiego jest obrona Ojczyzny.” Nie jestem prawnikiem, ale według mojej interpretacji zapis ten nie dotyczy tylko obrony przed nieprzyjaciółmi spoza kraju, ale ogólnie przed wszelkimi złymi zamiarami i intencjami.

Wracając do tematu Kmicica, w naszym kraju jest sytuacja, z której Kmicic mógłby być zadowolony w naszym państwie – zjednoczenie przeciw ACTA. Ludzie pokazali wtedy władzy, że to społeczeństwo rządzi tym krajem, a oni są jedynie ich przedstawicielami. Mimo że ów szlachcic mógłby nie zrozumieć, przeciw czemu ludzie się buntują, to byłby zadowolony, że naród jest w stanie wspólnie stanąć i powiedzieć stanowcze „nie”. Szkoda tylko, że na tym się skończyło, bo powinniśmy iść dalej tą drogą. Ciężko będzie cokolwiek zmienić w tym państwie, ale na pewno nie zrobimy tego, wybierając w kółko te same partie rządzące. Fakt jest taki, że ludzie boją się stanąć naprzeciw władzy i zawsze mówią: „I tak nic nie zrobimy” i zgadza się – nie w pojedynkę, ale gdyby zgromadziło się już większa grupa ludzi, to byłaby możliwość jakiegoś nacisku na rządzących. Przede wszystkim trzeba spełniać swój obywatelski obowiązek i chodzić na wybory, zacząć decydować o tym państwie, płacić podatki i bronić kraju. Jesteśmy w stanie to zrobić, tylko trzeba chcieć i uświadamiać ludzi o tym, że może być lepiej i to w naszej własnej Ojczyźnie.

Kawa

M

NAPÓJ O DŁUGIEJ I BOGATEJ HISTORII POSIADAJĄCY INTENSYWNY SMAK, AROMAT ORAZ WIELE POZYTYWNYCH DZIAŁAŃ NA NASZ ORGANIZM. WIELE OSÓB NIE MOŻE SOBIE WYOBRAZIĆ DNIA BEZ KAWY, BO TO WŁAŚNIE JEJ CHCE POŚWIĘCIĆ TEN ARTYKUŁ.

Historia

Według legendy kawę odkryto na terenie Etiopii, a dokonał tego pasterz imieniem Kaldi, który zauważył, że kozy w jego stadzie jedzące pewne owoce są bardziej energiczne od reszty. Postanowił więc sam spróbować jedzenia swoich nadpobudliwych podopiecznych. Wieść o owocach dodających energii rozprzestrzeniła się bardzo szybko po okolicy. Z Afryki Wschodniej trafiła na Bliski Wschód, gdzie powstały jej pierwsze plantacje. Nie wiadomo dokładnie, kto i gdzie sprowadził kawę po raz pierwszy do Europy. Pewne jest to, że na starym kontynencie budziła wiele kontrowersji, ze względu na pogańskie pochodzenie oraz efekt pobudzenia, który niektórzy przypisywali działaniom złych duchów. Natomiast z pojawieniem się kawy na terenie Ameryki wiąże się historia francuskiego oficera, Gabriela de Clieu, który podjął się próby przetransportowania sadzonek kawy do Ameryki, podlewał je sporą częścią swoich racji wody pitnej oraz cały czas dbał o nie przez bardzo długą podróż. Tak trudną przeprawę przetrwała tylko jedna sadzonka, która bardzo dobrze przyjęła się na terenie Ameryki i rozrosła się przez 50 lat do kilkunastu milionów krzaków. Oczywiście wersji tego, w jaki sposób kawa dotarła do Ameryki, jest wiele, lecz ta najbardziej przypadła mi do gustu.

Zdrowie garść faktów i mitów

Jeżeli kiedyś ktoś mówił, że kawa jest niezdrowa, to można włożyć między bajki, lecz istnieje kilka wyjątków, kiedy jej picie jest rzeczywiście niewskazane. Możemy do nich zaliczyć na pewno nadciśnienie czy

arytmie serca (jeśli masz wątpliwości, czy kawa nie zaszkodzi, najlepiej zapytać lekarza).

Zanim przejdę do dalszej części artykułu, pragnę wspomnieć o tym, iż kawa jest używką i można się od niej uzależnić. Stosowanie zbyt dużych dawek może powodować efekty uboczne, takie jak: zaburzenie rytmu serca, podrażnienie żołądka, bezsenność czy uczucie zmęczenia.

Jednym z popularnych twierdzeń jest to, że kawa wypłukuje magnez i wapń i jest to prawda, lecz są to ilości tak małe, że przy zbilansowanej diecie są one niezauważalne.

Na pewno pozytywnie na zdrowie wpłyną przeciwutleniacze zawarte w kawie, chroniąc organizm przed wieloma dolegliwościami, takimi jak nowotwory czy choroby serca.

To, że kawa pobudza organizm, przez co umożliwia kontaktowanie na pierwszych godzinach lekcyjnych, wie chyba każdy. Lecz nie pobudza ona tylko naszego mózgu. Można na pewno przypisać kofeinie zawartej w kawie pobudzenie przemiany materii. Kofeina występująca w kawie pomoże spalić tłuszcz, lecz pijąc samą kawę (a tym bardziej słodzoną) nie osiągnie się celu, lecz przy ćwiczeniach i diecie polepsza ona wyniki. Sama kawa bez dodatków ma ok 3 kcal, lecz jeżeli dodamy do niej tłuste mleko cukier i inne dodatki, ta wartość może wzrosnąć do kilkuset kcal.

Sądzę, że jeden artykuł to za mało na opisanie wszystkiego o kawie. Wydawać by się mogło, że to tylko napój - taka mała rzecz, a okazuje się, że jest w niej o wiele więcej, niż tylko poranny zastrzyk energii.



Wewnątrz radia – życie codzienne

Andrzej Koziński

JAK WYGLĄDA PRACA W RADIU

Wiele osób ciekawi, jak wygląda praca w radiu. W końcu słuchacz słyszy jedynie to, co jest efektem pracy wielu osób. Myśli sobie: „Fajna ta audycja, a ludzie w studiu są tacy zabawni i wyluzowani”. Jednak rzeczywistość i to, co dzieje się w myślach osoby przed mikrofonem, jest zupełnie inna. Na mówiącym leży ogromny ciężar stresu, że mówi się do ludzi i każda pomyłka może być wyśmiana. Owszem zdarzają się audycje, gdzie wypowiadamy się o czymś, co znamy bardzo dobrze i wtedy godzinna audycja upływa w mgnieniu oka. Niestety jest też tak, że mówimy wszystko, co sobie przygotowaliśmy, już niedługo koniec... i w tym momencie patrzymy na zegar i dociera do nas smutna prawda. Audycja jest prowadzona dopiero od pół godziny. Na tym polega cała sztuka, żeby potrafić mówić nie tylko o tym, co wiemy, ale też o tym, czego nie znamy. Tak było na samym początku mojej pracy w radiu. Do pierwszej audycji moja ekipa przygotowywała się dwa tygodnie. A potem nadchodzi chwila, w której siedzisz przed tym mikrofonem i jedyną, co wydobywa się z twoich ust to głośnie: „EEEEEEEE...”. Poza tym popełniana jest przeogromna ilość błędów typu:

„poszedłem” (ludzie zrozumcie w końcu, że mówi się poszedłem. Jak nie wierzycie, to spróbujcie wpisać w Wordzie „poszedłem”), albo „wziąć” (poprawnie jest „wziąć”). Trzeba też bardzo uważać na to, co się mówi. Przypadkiem napomkniesz o kimś w śmiesznej sytuacji i od razu nakładane są gigantyczne kary pieniężne za obrazę. Niektórzy z was pewnie też sądzą, że audycje prowadzi sobie jedna osoba i tylko ona wszystko robi. Nie jest tak. Realia są takie, że do jednej audycji potrzeba minimum 7 osób, na które składają się: wydawca, redaktor, czterech pomocników zbierających materiały i nagrywających sondy i wywiady oraz najważniejszy (wyrazu szacunku dla mojego kolegi Sebastiana, który zajmuje się tym) realizator. To on puszcza wszystkie rzeczy przygotowane przez ciebie, to dzięki niemu nie brzmisz źle, bo czuwa cały czas ze słuchawkami na uszach i łapie wszystkie twoje mlaśnięcia i poprawia twój zbyt wysoki głos, by brzmiał normalnie. Na koniec pragnę gorąco zachęcić was do słuchania internetowego Radia Pryzmat. Audycje, w których często występuję, odbywają się w czwartki od godziny 18.00-19.00. Serdecznie zapraszam do wysłuchania mnie i innych ludzi z Przystanku Kraków na żywo.



CleanBOT

Andrzej Laczewski

CLEANBOT UCZNIA KRAKOWSKIEGO TŁ POSPRZĄTAŁ KONKURENCJĘ I ZAJĄŁ 3 MIEJSCE W JEDNEJ Z KATEGORII PODCZAS FESTIWALU ROBOTYKI NA AGH.

Po raz piąty Koło Naukowe „Integra” Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie zorganizowało Festiwal Robotyki „Robocomp”. W tym roku odbył się on na terenie uczelni 25 października. Jak to już bywa, cieszył się ogromnym zainteresowaniem wszystkich fanatyków robotyki i elektroniki. Niezależnie od wieku i posiadanej wiedzy każdy mógł znaleźć coś interesującego dla siebie.



W tym roku przygotowano aż sześć konkurencji, w których roboty i ich konstruktorzy walczyli o najwyższe pozycje na podium.

Standard Sumo - Zawody robotów w kategorii sumo wzorowane są na prawdziwych, japońskich walkach sumo, które stylem przypominają zapasy. Walka dwóch autonomicznych robotów toczy się na powierzchni czarnego koła (ringu) ograniczonego białym marginesem. Wygrywa ten robot, który zdoła wypchnąć przeciwnika poza ring. Zazwyczaj walki robotów sumo składają się z kilku rund ograniczonych czasowo. W kategorii Standard Sumo startują roboty ważące do 3 kg, mające maksymalne rozmiary 20x20 cm. Ring, na którym walczyły roboty, miał 1,5 m.

MiniSumo - Najbardziej popularna konkurencja ringowa, zasady są podobne do standard sumo, lecz w maksymalne rozmiary robotów to 10 x 10 cm waga do 500 g, a średnica ringu to 77 cm.

LEGOsumo - Zasady gry są również podobne jak w innych konkurencjach typu sumo. Wszystkie części elektroniczne (silniki, czujniki, sterowniki), użyte w konstrukcji robota, muszą pochodzić z zestawów LEGO Mindstorms.

LineFollower - W tej konkurencji autonomiczne roboty mają za zadanie przejechać jak najszybciej wyznaczoną czarną linią trasę. Roboty startujące w tej konkurencji miały zastosowane najnowsze rozwiązania, takie jak turbina przysysająca robota do powierzchni, dzięki której robot mógł przejechać trasę w ciągu kilku sekund często „paląc” przy tym opony.

LineFollower Enhanced - Ta konkurencja jest podobna do poprzedniej, ale dodatkowo na trasie roboty spotykają dodatkowe przeszkody, utrudniające pokonanie trasy.

MicroMouse - Innymi słowy „robot mysz w labiryncie”. Liczy się nie tylko szybkość pokonania labiryntu przez robota, ale również zastoso-

wany przez niego algorytm przeszukiwania labiryntu.

Ostatnia konkurencja to Motorola Solutions Freestyle. Tutaj swoje miejsce znalazły wszystkie roboty niemieszczące się w sztywnych ramach pozostałych konkurencji. Inwencja twórcza konstruktorów była niczym nieograniczona, przeznaczenie robotów dowolne. W tej konkurencji, jak co roku pojawiły się bardzo ciekawe i widowiskowe roboty.

W festiwalu wzięło udział ponad stu konstruktorów. Były zespoły studenckie, drużyny ze szkół średnich i gimnazjów oraz szkół podstawowych. Festiwal składał się z dwóch części. W pierwszej, po rejestracji zawodnicy brali udział w eliminacjach, w drugiej odbyło się rozegranie finałów i rozdanie nagród zwycięzcom poszczególnych kategorii. Laureaci otrzymali medale i atrakcyjne nagrody fundowane przez sponsorów festiwalu, którymi były międzynarodowe firmy takie jak: Motorola Solutions, Delphi, Astor, National Instruments, Transfer Multisort Elektronik, Rainlabs.



Oprócz konkurencji głównych na festiwalu odbyło się wiele konkurencji

pokazowych poza konkurencjami nagradzanymi. Dla najmłodszych kibiców zorganizowano warsztaty pozwalające im na bezpośredni kontakt z elektroniką i robotyką, co w przyszłości może zaowocować konstrukcją własnego robota.

Jednym z uczestników Festiwalu „Robocomp” był uczeń drugiej klasy elektronicznej Krakowskiego Technikum Łączności Andrzej Laczewski. Wraz ze swoim robotem o nazwie „CleanBOT” brał udział w konkurencji Motorola Solutions Freestyle. CleanBOT – jest to zdalnie sterowany autonomiczny robot sprząający. Robot całkowicie autonomicznie porusza się po pomieszczeniach lub może być zdalnie sterowany poprzez aplikację na Androida wykorzystującą bluetooth. Robot został wykonany w całości przez ucznia według jego projektu i pomysłu.

W pierwszej części festiwalu robot był prezentowany szerokiej publiczności oraz sędziom i został zakwalifikowany do finału. Młody konstruktor musiał przygotować krótką ustną prezentację, omawiającą konstrukcję i oprogramowanie robota oraz jego zastosowanie i możliwości. Podczas finałów przyjechała ekipa telewizyjna wraz z reporterką TVN24. Po prezentacji robota przed publicznością i sędziami ogłoszono wyniki. W swojej kategorii Andrzej zajął trzecie miejsce, wyprzedzając kilka ekip studenckich z kraju. Na drugim miejscu na podium znalazł się robot „Arbito” - robot humanoidalny skonstruowany przez studenta Akademii Techniczno- Humanistycznej z Bielska-Białej. Pierwsze miejsce zajął robot „Outside Humanoid Robot” wykonany przez studentów Akademii Górniczo Hutniczej w Krakowie.

Polska w drodze po Oscara

Artur Kawala

CICHY FILM, O KTÓRYM JUŻ JEST GŁOŚNO. CZY MA SZANSE NA NAJPOPULARNIEJSZĄ NAGRODĘ FILMOWĄ?

Wstęp

22 lutego 2015 r. to data wyznaczona na 87. ceremonię wręczenia Oscarów. Tradycyjnie można przypuszczać, że jak co roku o tym wydarzeniu będzie głośno w mediach. Polska po raz kolejny stanie się częścią tego wydarzenia, teraz jednak ma szansę na coś więcej niż sama nominacja, bowiem jest realnym faworytem w wyścigu po oscarową statuetkę za najlepszy film nieanglojęzyczny. A to wszystko za sprawą „Idy” – filmu Pawła Pawlikowskiego. Już w grudniu Akademia Filmowa wyłoni 9 tytułów spośród 83 zgłoszonych, a miesiąc później uszczupli tę listę do pięciu pozycji i spośród nich wybierze jeden, zwycięski.

O filmie

Osiemdziesięciminutowy film osadzony w latach 60. XX w. opowiada o dwóch kobietach – Annie (debiutująca Agata Trzebuchowska) i Wandzie (genialna Agata Kulesza). Anna znajduje się w zakonie i krótki czas przed złożeniem ślubów poznaje jedyną swoją krewną, Wandę Gruz (której postać stworzona została w oparciu o autentyczną historię Heleny Brus-Wolińskiej – działaczki komunistycznej, prokurator, oskarżycielki w procesach politycznych podczas PRL-owskiego okresu stalinizmu, także w tzw. mordach sądowych). Dowiaduje się od niej, że jest pochodzenia żydowskiego, a jej prawdziwe nazwisko to Ida Lebenstein. Obie wyruszają w podróż, by poznać historię swojej rodziny i skonfrontować się z rzeczywistością.

Jak to się zaczęło?

„Ida” powstawała w bólach – pogoda na planie nie dopisywała, ale przede wszystkim były to problemy finansowe (jeden z zagranicznych koproducentów chciał się w ostatniej chwili wycofać, twierdząc, że taki film nie może się sprzedać). Były to też narodziny ciche. W Polsce tytuł zobaczyło niecałe 109 tys. widzów. Głośno zaczęło się robić po festiwalu w Gdyni, gdzie „Ida” zdobyła kilka nagród, w tym tę najważniejszą – Złotego Orła za najlepszy film.

Liczne nagrody

Za granicą również nie było łatwo. Z początku tytuł odrzucały kolejne prestiżowe festiwale, przełom nastąpił w Toronto. „Ida”, na tę chwilę, w sumie pojawiła się na ponad 50 festiwalach, gdzie zebrała razem ponad 30 nagród. Największymi międzynarodowymi sukcesami była nagroda FIPRESCI na ww. festiwalu w Toronto, Grand Prix na Warszawskim Festiwalu Filmowym, Złota Żaba na Camerimage, zwycięstwo na Londyńskim Festiwalu Filmowym. O filmie zrobiło się głośno na całym

świecie, również w USA, co było bodźcem do podjęcia decyzji przez Music Box Films o wykupieniu praw dystrybucyjnych. Opłaciło się.

„Ida” w Box Office

Fakt, że film Pawlikowskiego nie sprzedawał się na początku dobrze w naszym kraju (co, muszę wtrącić, jest trochę smutne), nie przełożyło się na szczęście na zagranicę. W Toronto nieufny agent sprzedaży nie zrobił wiele dla „Idy”, jednak film zaczął „sprzedawać się sam” – ludzie na ulicy o nim rozmawiali, a dystrybutorzy ustawiali się w kolejce. W USA po premierze „Idę” wyświetlały 3 kina. Tydzień później – 7. Następnie – 27. Zainteresowanie nie słabło i w końcu zaczęło nawet brakować biletów na seans. Obecnie film w sumie zarobił ponad 3,7 mln USD.

Wyścig po Oscary

Magazyn „Variety” podaje, że po przeprowadzonej sondzie wśród krytyków filmowych (odpowiedzialnych m.in. za Złote Globy, które traktuje się jako oscarową prognozę) „Ida” ma największe szanse spośród nominowanych filmów. Zagrozić jej może Xavier Dolan i jego „Mommy”, „Turysta” Rubena Ostlunda, „Lewiatan” Andrieja Zwiagincewa, czy „Dwa dni, jedna noc” braci Luca i Jean-Pierre’a Dardenne.

Pozytywne opinie

Film Pawlikowskiego zbiera wszędzie dobre recenzje. W USA ponoć tylko jedna była nieprzychylnie nastawiona filmowi, ale jej autor po jakimś czasie zmienił opinię. Świetne wyniki we Francji, Hiszpanii, Włoszech czy Niemczech to nie koniec. Obraz trafił w dalsze miejsca, jak Argentyna, Nowa Zelandia i Korea Płd. Oznacza to, że film zyskał inny kontekst, niż tylko żydowski i stał się uniwersalny dla całego świata, a dobre jego przyjęcie w bardzo wielu krajach tylko ten fakt potwierdza.

Zakończenie

Cóż, chyba nic innego nie mogę w tym miejscu napisać: jeśli jeszcze nie widziałeś/aś „Idy”, koniecznie to nadrob. Osobiście uważam, że to jeden z najpiękniejszych polskich filmów w ogóle, natomiast zdjęcia, które stały się jego wizytówką, wprawiają w niemy zachwyt. Historia natomiast niesie wiele morału, opowiada nie tylko o obecności abso-lutu w naszej egzystencji, ale też bliska jest człowiekowi, zagubionemu w prozie życia. Ostatnimi dwoma argumentami niech będą główne bohaterki, reprezentujące dwa skrajne światy; jedna grana przez piękną debutantkę, druga przez znajdującą się na wyżynach aktorskich mistrzynię w swoim fachu.



Budowa CleanBOTa

Andrzej Laczewski

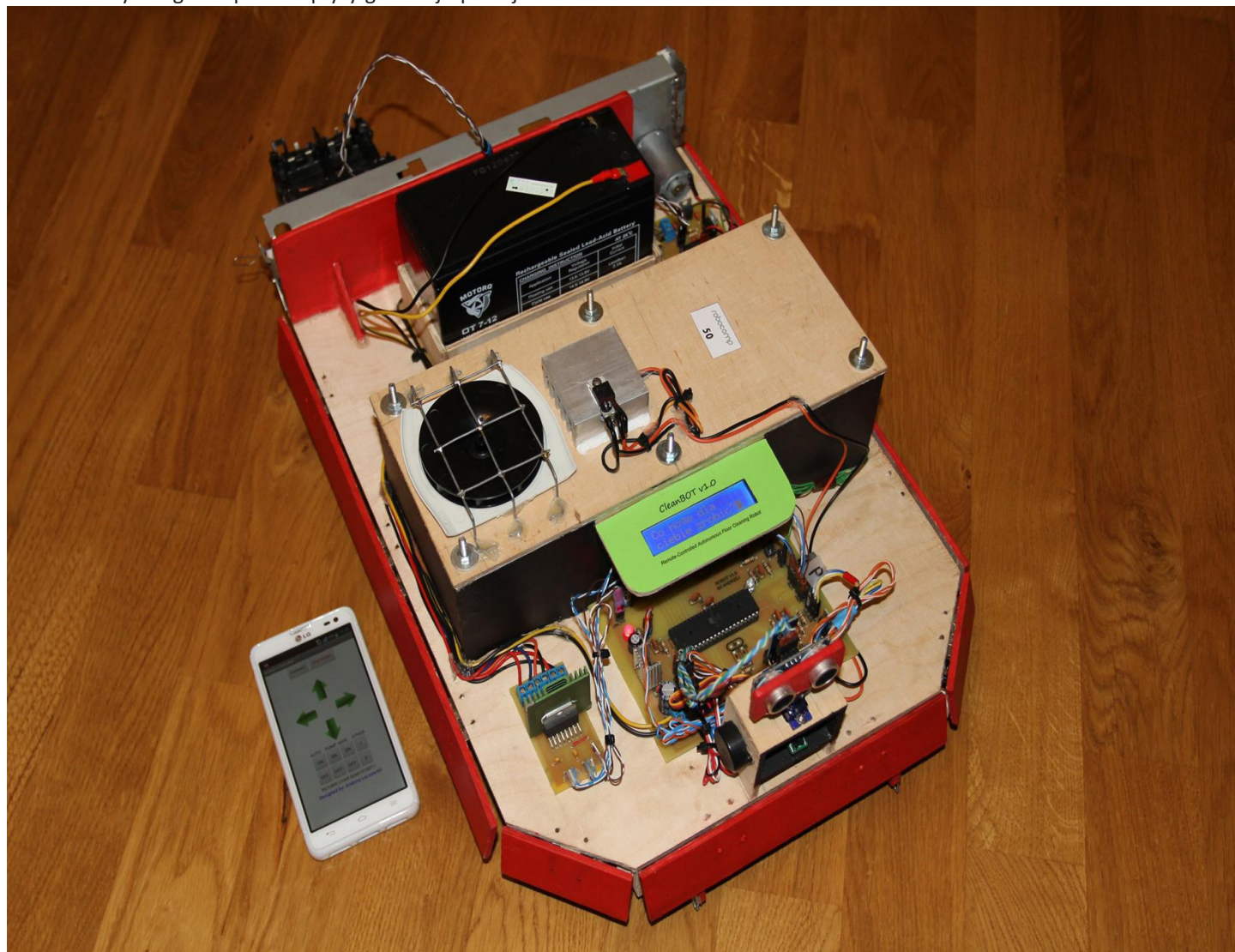
SAMEMU MOŻNA ZBUDOWAĆ ROBOTA.

Budowę robota rozpocząłem od określenia funkcji, jakie będzie pełnił. Wybór padł na całkowicie automatycznego robota sprzątającego z możliwością sterowania przez Bluetooth. Sprząta on na dwa sposoby poprzez: aktywne mopowanie oraz odkurzanie. Pomyślałem, że jeszcze nikt nie podjął się stworzenia czegoś podobnego samemu, więc dlaczego by nie spróbować?

Miałem wiele pomysłów odnośnie ogólnej konstrukcji oraz wyglądu robota. Najlepszą opcją - po wykonaniu testów - okazało się zrobienie większości elementów robota z taniej, lecz wytrzymałej sklejki drewnianej. Wybór padł właśnie na taki materiał, również ze względu na prostotę jego obróbki. Po wykonaniu projektu zabrałem się za montaż kluczowych elementów ze sklejki. Następnie zostały dodane silniki napędowe wraz z przekładniami oraz kołami zapewniającymi odpowiednie przełożenie, dzięki któremu robot, który waży ponad 5 kg, może ruszyć z miejsca. Po przetestowaniu napędu wykonałem system zderzaków informujących robota o zderzeniu z przeszkodą w przypadku, gdy czujniki odległości jej nie wykryją. Następnie sporządziłem schematy: sterownika silników napędowych, sterownika aktywnego mopa oraz płyty głównej opartej na mikro-

kontrolerze AVR ATmega 32, zawierającej wszystkie potrzebne elementy. Po wytrawieniu płytek w mojej mikroprocesorowej wytrawiarce i przylutowaniu wszystkich elementów zabrałem się za montaż czujników odległości: sonar ultradźwiękowy na serwomechanizmie umożliwiającym dowolne pomiary w zakresie 180 stopni oraz cyfrowe czujniki odległości korzystające z podczerwieni. Po montażu wszystkiego rozpocząłem testy oraz rozwój programu dla mikrokontrolera. Testy polegały na włączeniu trybu automatycznego i sprawdzaniu sytuacji, w których robot nie radzi sobie ze znalezieniem wolnej drogi w celu modyfikacji kodu. Po udanych testach zamontowałem aktywny system mopowania, tzn. gdy robot jedzie do przodu, gąbka rusza się dodatkowo na boki zwiększając efektywność mycia podłogi. Następnie zamontowałem sekcję odkurzacza wraz z komorą na kurz, filtrem i dmuchawą. Po jakimś czasie, gdy waga robota zwiększyła się, okazało się, że silniki napędu potrzebują dodatkowego chłodzenia. Podczas budowy starałem się wykorzystać części ze starych sprzętów, np. DVD czy drukarki. Chciałem ograniczyć koszty, lecz nie było to takie łatwe. W trakcie budowy pojawiły się pewne problemy, np. brak wykrywania schodów oraz blokowanie się na wysokich dywanach. Oba problemy zostały rozwiązane poprzez dodanie odpowiednich czujników oraz modyfikacje programu. Robot zasilany jest z akumulatora żelowego zapewniającego około 3,5 godziny ciągłej pracy.

Prace nad CleanBOT'em trwały około półtora miesiąca. Jest to dość szybko, biorąc pod uwagę, że to mój pierwszy projekt tego typu. Podczas budowy nauczyłem się wielu nowych rzeczy. Ogólnie jestem z niego bardzo zadowolony. Myślę, że mógłbym wprowadzać do niego usprawnienia bez końca, dlatego zakończyłem prace w obecnym stanie. W przyszłym roku planuję wykonanie LineFollower'a lub MiniSumo.



Haneke na Siódmym Kontynencie

Artur Kawala

TEGO TYTUŁU NIKOMU NIE POLECAM.

Michael Haneke swym dorobkiem zasłużył sobie na pełnoprawne miano wielkiego filozofa naszych czasów. W swoich filmach poruszył pełen wachlarz problemów egzystencjonalnych, człowieczeństwa i tego, co nami – jako zwykłymi ludźmi, żyjącymi obok siebie – kieruje. „Siódmy Kontynent” nie zdobył żadnych nagród, gdy wspomina się filmografię reżysera, pozycja ta nie zawsze się pojawia, lecz osobiście uważam go za jedno z największych dzieł Austriaka. Jest to jedyny chyba film, wobec którego jestem pełen uznania, a zarazem nie poleciłbym go komukolwiek.

Haneke w „Siódmym Kontynencie” pokazał upadek człowieka w świecie konsumpcjonizmu i wiecznej walki o pieniądze. Historia jest jednak nad wyraz cicha i do pewnego momentu niedopowiedziana. Obraz rodziny, która jest bohaterem filmu, nie odbiega niczym szczególnym od tych, z którymi spotykamy się codziennie. Jednak rozwój, który doprowadza do desperackiego czynu, jest schowany za obrazem, fabułą, a nawet dialogami. Czyn ten tłumaczy reżyser i robi to na swój sposób – również milczy, ale widza traktuje jako inteligentnego odbiorcę i tak prowadzi go przez film, pokazując mu z pozoru nieistotne ujęcia, kadry i błahe sytuacje.

Wszystko to ujęte jest w ramy współczesnego świata, prącego naprzód, niedającego się zatrzymać. Nic nie odbiega od rzeczywistości, jaką znamy, jednak w filmie Hanekego zostaje ona bezlitośnie obnażona z pozorów, które idea postępu przed nami rozpotała. Ujęcia są charakterystyczne dla reżysera; kamera właściwie się nie porusza, szybkie cięcia obleczone są tutaj w kilkusekundowe pauzy, na które składa się tylko czarny ekran. Nareszcie mamy czas zastanowić się choć przez chwilę nad naszym życiem, w ciszy i poza ulicznym zgiełkiem. Niekiedy w centrum kadru znajduje się rodzina, a niekiedy jest ona tylko z boku i poza obrazem.

Film jest wypełniony depresją, samotnością i zagubieniem. Nie na darmo na jego początku umieszczona została notka informu-

jąca, że może się on okazać niebezpieczny dla ludzi ze skłonnościami depresyjnymi. Córeczka Schoberów straciła sens życia już w młodym wieku i nawet rodzice nie potrafią jej pomóc, bo sami nie wiedzą, gdzie go szukać. Każdy ich dzień wygląda podobnie, wręcz zautomatyzowanie. Kiedy wstają, idą do pracy, czy spędzają razem czas (praktycznie nie zamieniając ze sobą słowa). W radiu nie mówi się o niczym innym, tylko o konfliktach i wojnach na świecie. Wyprane z emocji sceny wzbudzają smutek i skłaniają do pytania, czy właśnie żyjemy tak jak Anna, Georg i ich córka – czyli idąc codziennie naprzód, ale właściwie nie zmierzając donikąd. Bohaterowie dostrzegli beznadziejność swej sytuacji. Dostrzegli ją mimo dobrego statusu społecznego, porządnego zarobków, spełnienia zawodowego i pozornej samorealizacji. Stanęli twarzą w twarz ze świadomością, że tak na prawdę nic nie posiadają. Zostali uwięzieni w tym, co większość ludzi chciałaby osiągnąć. Nawet motyw katharsis, który objawia się po tym, jak Schoberowie widzieli wypadek samochodowy, przeniesiony został do współczesności i Anna przez niego przechodzi w myjni samochodowej.

Obraz Michaela Hanekego jest bezlitosny i skrajnie obnaża wszystkie kłamstwa, którymi sami się karmimy nawzajem. I chyba dlatego jest tak ciężki i depresyjny, bo ciężko tu wytrzymać jakąkolwiek prawdę, a tutaj jest ona okrutna i zniesienie jej to wielki wysiłek, z którym bohaterowie „Siódmego Kontynentu” musieli się zmierzyć. Już sam tytuł jest alegorią naszych pragnień i każe się zastanowić, dokąd chcemy dotrzeć, idąc drogą, którą w życiu obraliśmy. W filmie skonfrontowany z sytuacją Schoberów okazuje się tylko nadzieją, że gdzieś dalej będzie lepiej. Haneke jest jednak bezlitosny i nie daje widzowi nawet żadnego jej cienia, tylko kończy film bezwyrazowym szumem telewizyjnego ekranu. I właśnie ta okrutność i sam fakt, że jest ona sprawiedliwa, sprawia, że nie mam serca nikomu w stu procentach polecić „Siódmego Kontynentu”, filmu-arcydzieła.

